

Marek Jankowski

ZESPÓŁ „RAZ, DWA, TRZY” (Kronika wydarzeń artystycznych)*

1990 — pierwszy sukces

„Panie i Panowie, oto zwycięzcy 26. Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie - Adam Nowak, Grzegorz Szwałek, Jacek Olejarz, Jacek Ograbek. To czarny kwartet z Zielonej Góry, studenci Wyższej Szkoły Pedagogicznej — zespół »Raz, Dwa, Trzy«”.

Na koncertach finałowych, bo zainteresowanie było na tyle duże, iż były takowe dwa — po południu i wieczorem, „Raz, Dwa, Trzy” zagrali także pozostałe utwory konkursowe, czyli „Talerzyk” i „Rzekę”, a ponadto „W każdej knajpie” i „Rozkaz”. Recital zespołu przyjęto z dużym entuzjazmem.

- Po drugim, wieczornym koncercie Jacek Kaczmarski wstał z miejsca i zaczął klaskać — wspomina Adam Nowak — chwilę później ludzie też wstali i ta owacja wydała mi się wtedy dużą przesadą. Po koncercie Jacek Kaczmarski zaprosił mnie do garderoby i rozmawialiśmy chwilę, i było miło.

Festiwal w Krakowie. Dla mnie — tylko zespół „Raz, Dwa, Trzy”. Profesjonalizm, nie ograniczający ekspresji, spójne propozycje artystyczne. Teraz, po roku, słuchając nagrań, mogę oczywiście zrobić miejsce dla uwag krytycznych. Być może niektóre teksty niedookreślone, być może pastisze muzyczne zacierają oryginalność brzmienia, ale jedyne zagrożenie widzę w przeniesieniu punktu ciężkości przekazu na efekt. Ale ten pozbawiony płacziwości, energiczny egzystencjalizm odpowiada mi. Jest dobry (Jacek Kaczmarski, czerwiec 1991).

Późnym wieczorem zespół „Raz, Dwa, Trzy”, podobnie jak i inni uczestnicy festiwalu, odwiedził krakowski klub „Pod Jaszczurami”, gdzie odbywało się spotkanie towarzyskie kończące 26. Studencki Festiwal Piosenki.

- Zakończyło się bardzo upojnie — mówi Adam — ja wylałem sobie całego szampana na głowę, Grzegorz trzymał w ręku zwitek pieniędzy. To była ogromna, makabryczna suma, jakieś 4 i pół miliona i nie mógł uwierzyć, że to nasze, nie wiedział, co z tym zrobić.

* Tytuł artykułu i śródtytuły wprowadzili redaktorzy tomu.

- To prawda — dodaje Grzegorz Szwałek — piłem szampana na Starym Rynku, „lekką” nietrzeźwy łałem go sobie na głowę, płakałem i skakałem. Wtedy podeszli do mnie dwaj policjanci i zapytali co tu robisz? Powiedziałem, że wygrałem. Tylko tyle. Jedno słowo. A oni pokiwali głową i sobie poszli. Byłem tym bardzo zaskoczony, nic ode mnie nie chcieli. To było super.

Festiwal zakończył się, a dziennikarze i krytycy próbowali zinterpretować i ocenić zjawisko pod nazwą „Raz, Dwa, Trzy”. Jeden z jurorów festiwalowych tak pisał:

Jestem absolutnie przekonany, że i tegoroczny konkurs piosenkarzy studenckich wspominać będziemy bardzo dobrze. Pojawił się bowiem na nim zespół „Raz, Dwa, Trzy”, po prostu wspaniały! „Raz, Dwa, Trzy” działa w Zielonej Górze. W środowisku ostatnio zadziwiająym, choćby dlatego, że powstało w nim kilka znakomitych kabaretów. W dobie ogólnego upadku polskiej sztuki kabaretowej i w ogóle wesołości w naszym kraju fakt ów godzien jest odnotowania. Ale w Zielonej Górze urodziły się też zespoły jazzowe, kwartecik wokalny na profesjonalnym poziomie! A teraz czwórka młodych ludzi, którzy pokusili się o swoistą syntezę poetyki „punk”, współczesnej poezji (rodem z Barańczaka), Kantorowskiego obrazu scenicznego i do tego poczucia humoru (zwłaszcza autoironii) rodem z najlepszego kabaretu! Czterech młodych mężczyzn o wysmakowanym wyglądzie zasiada na estradzie z kamiennymi twarzami, zwróconymi na trzy strony świata — i gra niebanalną muzykę, i śpiewa doskonale teksty. Autorem tego wszystkiego (poezji, muzyki, image) jest Adam Nowak. Zapamiętajcie to nazwisko! (Jan Poprawa, „Przekrój” 1990, nr 2345).

Fragmenty artykułu Poprawy były w późniejszym okresie wielokrotnie cytowane w wywiadach prasowych, telewizyjnych i radiowych, a kiedy Adam odtwarzał je na koncertach, wzbudzały zawsze dużo śmiechu i radości.

- Nie po to wymyślaliśmy obraz zespołu — mówi Adam — żeby to jakoś nazywać, zaskoczony byłem, że ktoś może się tym zainteresować i tak głęboko szukać sensu w tym, co robimy, ale Janek Poprawa ma taką tendencję i już.

„Festiwal pamięta się poprzez nazwiska laureatów” — pisze w „Sztandarze Młodych” Małgorzata Szniak — „a o tegorocznych, formacji »Raz, Dwa, Trzy« z Zielonej Góry, można mówić wyłącznie w superlatywach. Szkółka kabaretowa Władysława Sikory, z której wywodzi się lider zespołu Adam Nowak, to firma znana w środowisku studenckim”.

- Długo byliśmy odbierani — ustosunkowuje się do tych opinii Grzegorz — jako taki kabaret muzyczny, takie nie wiadomo co. Takie piętno długo się za nami ciągnęło.

Zanim jednak zaczęły się pojawiać opinie w prasie, grupa wróciła do Zielonej Góry. W niedzielę panowie z „Raz, Dwa, Trzy” spakowali manatki i wybrali się na targ przed dworcem.

- Kupiliśmy sobie mnóstwo mandarynek, wielką kiść bananów — wspomina Jacek Olejarz — orzeszki, Coca-Colę i piwo w puszkach, takie rzeczy, na które wcześniej nie mogliśmy sobie pozwolić.

- To wszelkie dobro i jeszcze parę flaszek wódki zapakowaliśmy do przedziału — uzupełnia Grzegorz — pożegnaliśmy się z Ograbkiem i do samej Zielonej Góry jedliśmy, piliśmy, upijaliśmy się, spaliliśmy i tak w kółko.

- Wspominaliśmy festiwal, śpiewaliśmy, zastanawialiśmy się co dalej — dodaje Adam — a ja wtedy całkiem straciłem głos, nie mogłem nawet mówić i w końcu dojechalśmy.

- Wysiedliśmy z pociągu — w słowo wchodzi Jacek — zdążyliśmy już wytrzeźwieć. Patrzymy, a na dworcu nikogo nie ma. Ogarnął nas smutek, rozczarowanie. Taka nagroda, wiedzieliśmy, że nasze środowisko się cieszy, a tutaj zaskoczenie, nikt nie czeka. Idziemy przez tunel, aż nagle dobiegają do nas pierwsze dźwięki „Rzeki”, to nasz kumpel Fudzi, grał na trąbce.

- Kiedy zobaczyli nasze nogi — uśmiecha się mówiąc to Adam, bo to jeden z najmilszych faktów w historii grupy — to wtedy orkiestra ruszyła pełną parą, to koledzy z wychowania muzycznego przygotowali nam taką niespodziankę. Na dworzec przyjechała kilkuosobowa orkiestra. To był niesamowity efekt, ta muzyka w przejściu podziemnym. Wtedy dostaliśmy też taką wielką, piękną laurkę z gratulacjami, z rysunkami itp. Do tego bardzo ważne słowa Sikora, że bardzo przeprasza, że się mylił, co w jego wypadku było faktem bardzo znaczącym.

Władek Sikora, lider zielonogórskiej sceny kabaretowej, twórca m. in. kabaretu „Potem”, przed festiwalem twierdził, że zespół „Raz, Dwa, Trzy” nie ma żadnych szans, że nie ma po co jechać. „Sikora” na dworcu nie było, ale jego gest panowie z „Raz, Dwa, Trzy” zapamiętują na całe życie. Przed dworcem było za to kilkadziesiąt innych osób, które gratulowały. Zespół postanowił zafundować wszystkim taksówki i kawalkadą wozów pojechać do akademika.

- Kiedy przyjechaliśmy, ludzie z okiem wyglądali, krzyczeli, witali, to było niesamowite, nigdy tego nie zapomnę — twierdzi Grzegorz .

Dzień zakończył się gigantyczną imprezą, uczestniczyło w niej ze 300 osób, na korytarzu IX piętra akademika.

- Zleciało się mnóstwo osób, których nie znaliśmy — mówi Adam — studenci zaoczni i dzienni, wszyscy przynosili wódkę, gratulowali, a trwało to do rana, niesamowita euforia, pierwszy raz zobaczyłem, że ktoś może tak się cieszyć z czyjegoś sukcesu.

- Mój przyjaciel Krzysz Sobotkiewicz, absolutny abstynent — dodaje Grzegorz — pił wódkę [...] pierwszy i chyba ostatni raz w życiu.

Wówczas to, na IX piętrze akademika w towarzystwie co najmniej kilkadziesięciu bardziej lub mniej znanych im osób, do Adama, Grzeška i Jacka dotarło, iż zespół „Raz, Dwa, Trzy” istnieje dopiero od trzech miesięcy. A wszystko zaczęło się na tym samym piętrze tego samego akademika, także przy wódce, ale w znacznie mniejszym gronie, pod koniec lutego AD 1990. Adam Nowak siedząc na korytarzu z Władkiem Sikorą próbował ułożyć melodię do „Rzeki”, a że brakowało jakiegoś instrumentu, np. klarnetu, na którym to grywał np. Grzegorz Szwałek, to jak nietrudno się domyślić, wkrótce grali we dwójkę.

- Od „Rzeki” to się wszystko zaczęło — wspomina Grzegorz [...] Sikor wtrącał, że coś mu się podoba, a coś nie, aż nagle ktoś wpadł na pomysł, żeby zaprosić całkiem niezobowiązująco Jacka Olejarza, który jako że grał na basie, a nie było w pobliżu żadnego perkusisty, był w stanie wystukać rytm.

- Wtedy Jacek siedział w pokoju — wtrąca Adam — i opijał jakąś uroczystość domową, ale nie za długo, bo myśmy go wyciągnęli z tej imprezy, pożyczylimy od naszej koleżanki Agnieszki Bortnowskiej dwa bongosy i tak na korytarzu powstał zespół „Raz, Dwa, Trzy”.

Nazwy oczywiście jeszcze w lutym nie było. Pierwsza zaimprovizowana próba trwała ok. dwóch godzin, z których to większość czasu muzycy poświęcili na tworzenie „Rzeki”.

- W kółko graliśmy ten sam numer, godzinę, albo i dłużej — przypomina Grzegorz — a potem to już naturalnie poszło, próbowaliśmy jeszcze „Talerzyk” i wtedy poczuliśmy, że to chyba to.

- Wyklarowało się brzmienie, trochę podświadomie — dodaje Adam — jakie chcieliśmy osiągnąć, jakby zapominając o tym wcześniejszym spotkaniu w szóstkę, kiedy to było takie trochę big-bitowe granie, takie lata sześćdziesiąte.

Trzeba wiedzieć, że kilkanaście dni wcześniej szóstka muzyków: Adam Nowak (gitara i śpiew), Grzegorz Szwałek (saksofon), Jacek Olejarz (gitara basowa) Leszek Jenek (gitara akustyczna), Darek Mańczuk (perkusja) i Krzysztof Sobotkiewicz (piano Fendera) odbyła trzy próby w DK „Mrowisko”. Zespół realizował pomysły Adama, udało się przygotować 2 lub 3 piosenki — m. in. „Talerzyk”, ale grupa szybko się rozwiązała.

- Nikomu się to nie podobało — twierdzi Grzegorz — wszyscy wiedzieliśmy, że to jakiś przerost formy nad treścią. Piosenki były za lekkie, a skład był za ciężki, no i nie było lidera, Nowak nie wiedział czego chce.

Efekt próby korytarzowej był na tyle dobry, podobał się i muzykom, i kolegom, że Nowak, Szwałek i Olejarz regularnie zaczęli spotykać się na próbach w klubie „Zatem”. Jacek oprócz bongosów używał tylko hajhetu (także pożyczonego), Adam grał na pożyczonej gitarze i dużo myślał o dołączeniu do składu wiolonczeli lub kontrabasu (pomysł wówczas nie został zrealizowany), a Grzegorz jako jedyny używał własnego instrumentu — klarnetu. Te pierwsze utwory to były pełne pomysły i aranżacje Nowaka, który wszystko miał wymyślone.

- Adam miał bardzo konkretną wizję — mówi Grzegorz, a Jacek potakuje głową.

W marcu zespół przygotował, 45 minut programu i postanowił zagrać pierwszy koncert. Zaistniała wówczas konieczność wymyślenia nazwy, więc trzech panowie spotkali się w towarzystwie żony Jacka Gosi na tzw. próbie koncepcyjnej.

- Kombinowaliśmy, jak mamy się nazywać — przypomina Nowak — aby nie było patetycznie, ideologicznie, ani rockowo, jak inne grupy, ale by było normalnie, a jednocześnie chwytliwe.

- Stało wtedy na nazwie „Trzech” — dodaje Jacek — ale w momencie, gdy robiliśmy plakaty, pomyśleliśmy, że prościej będzie „Trzy”.

Przed koncertem, który odbył się 3 kwietnia 1990 r. w studenckim klubie „Zatem” przy zielonogórskiej WSP, zespół przygotował trzy afisze namalowane białą farbą na czarnym aksamicie. Trafiły one do obu akademików oraz do hallu uczelni. Przygotowanie występu wymagało pracy nie tylko na próbach.

- Budowaliśmy w klubie taką dziwną scenografię — wspomina Jacek. - Światło kierowaliśmy przez rury, tak by oświetlone były tylko nasze twarze, ręce, a najbardziej instrumenty. Oczywiście wszystko na scenie w czerni. Całą noc przed koncertem robiliśmy w klubie tę scenografię.

Krzeseła zostały ustawione w trzy strony świata i przykryte czarną szmatą, żeby nie było widać, że są brudne. Muzycy byli ubrani na czarno.

- Dążyliśmy do takiego teatralnego wyczyszczenia sceny, pozbawienia widza wszelkich zbędnych źródeł komunikatu, poza nami — twierdzi Adam — i to nam się udało, dało pożądany efekt.

- To było trochę ze strachu, — wyjaśnia Grzegorz — że ta muzyka sama się nie wybroni, bo była to taka surowizna, tylko trzy instrumenty i takie plamy dźwiękowe. Chcieliśmy, by oprócz dźwięku na widzów wpłynął także obraz. Wtedy był bardzo modny Mądzik, wszyscy się nim zachwycali i stąd może to wprowadzenie ludzi po ciemku z latarkami.

Frekwencja na koncercie, a może raczej na spektaklu była stuprocentowa.

- Bardzo duże emocje towarzyszyły mi wtedy jako debiutantowi, w sensie prezentacji własnych piosenek na scenie — wspomina Adam. — Było wielu zaproszonych gości, bardzo ważnych, bo był Bodek Idzikowski, Włodek Sikora, Jerzy Markiewicz, Roman Więckowski, który po koncercie stwierdził, że jestem człowiekiem pozbawionym osobowości, że to się nie może udać, z tego absolutnie nic nie będzie. Inni byli mniej sceptyczni, ktoś tam płakał, część twierdziła, że to absolutny odjazd i szkoda, że się nie nawalili trawą.

Najbardziej odpowiadała mi ta pierwsza formuła 1, 2, 3. Tekst nie był przytłoczony muzyką, był najważniejszy, do tego niestawiony głos Nowaka i akustyczne instrumenty. Taki eklektyzm Okudźawy czy Wysockiego i do tego spektakl — teatr muzyczny — coś z mistyki, coś z inscenizacji i coś z koncertu. To, co zobaczyłem i silnie na mnie oddziaływało, to był fenomen tego wcześniejszego 1, 2, 3. (Bogdan Idzikowski, prorektor WSP w Zielonej Górze, maj 1996).

Krótko potem zespół zagrał swój drugi koncert, w drugim akademiku, w drugim klubie studenckim — w „Gębie”.

- On miał znamię koncertów, które gramy dzisiaj — Adam zamyka oczy i się uśmiecha — tzn. muzyka, którą wykonujemy, oddziałuje na nas, nie

wszystko jest ciężkie i egzystencjalne. Wtedy, gdy gramy utwór swingowy, to wyzwała to w nas lekkość i radość. Sporo improwizowaliśmy.

Na koncercie w „Gębie” członkowie grupy postanowili przywitać się z publicznością, wyjść w dobrym nastroju, co może nie było pomysłem zbyt odkrywczym, jednak w tamtym okresie była to koncepcja rewolucyjna, wcześniej przez nich nie do pomyślenia.

- Nieświadomie sugerowaliśmy, że to, co będziemy robić — śmieje się Adam — ma sprawiać przyjemność nam i wam. Wspólna przyjemność.

- Ten koncert w „Gębie” to były — dodaje ten istotny fakt Jacek — a właściwie miały być eliminacje do „studenckiej”, ale nikt poza nami się nie zgłosił. Może i dobrze. Nikt nas nie wygryzł i pojechaliśmy do Krakowa jako jedyny podmiot wykonawczy z Zielonej Góry.

Kolejne — trzeci i czwarty, ostatnie przed wyjazdem na festiwal, koncerty, zespół już „Raz, Dwa, Trzy”, bowiem na początku maja w sposób naturalny nazwa zakończyła swoistą ewolucję, zagrał w zielonogórskim DK „Mrowisko”. Występy o tyle istotne, że ukształtowały ostatecznie na dłuższy czas wizerunek sceniczny „Raz, Dwa, Trzy”. Muzycy postanowili swe czarne stroje wzbogacić zielonymi elementami. I tak u Grzegorza był to zielony kołnierzyk i prawa skarpetka (siedział prawą stroną do publiczności), u Jacka — naramienniki i lewa skarpetka (siedział lewą stroną do publiczności), a szelki u Adama, który od tego czasu wychodził na scenę bez skarpetek. Po tym występie Gerard Nowak (szef DK) namówił ówczesnego prorektora WSP Edwarda Hajduka, by wyłożył 100 tys. złotych, on wówczas dorzuci „stówkę”, zespół kolejną i będzie można sfinansować wycieczkę do Krakowa na festiwal.

Tego epizodu akurat nie pamiętam, ale zespół „Raz, Dwa, Trzy”, podobnie, jak każdy inny z tej uczelni, wspomagałem. Zgodnie z moimi przekonaniami, że studenci, to taka młodzież, która nie tylko konsumuje, ale i tworzy. Potwierdzeniem tego jest twórczość kabaretu „Potem”, chóru „Cantores”, czy właśnie zespołu „Raz, Dwa, Trzy”. Nowością ostatnich lat jest fakt, iż takie zespoły pojawiają się w małych ośrodkach akademickich, nie tylko w Poznaniu, Łodzi, Krakowie czy Warszawie (Edward Hajduk, Dziekan Wydziału Pedagogicznego WSP w Zielonej Górze, wrzesień 1996).

Pociąg „Ślązak” odjeżdżał z Zielonej Góry o 6.00, Grzegorz z Adamem, bowiem oni jako pierwsi wyjechali do Krakowa, obudzili się kwadrans wcześniej.

- Wieczorem przesadziliśmy z wódką — twierdzi Adam — nie wiem z jakiej okazji. O mało co byśmy się spóźnili na ten pociąg, dwa plecaki, mnóstwo instrumentów, tempo oszałamiające, udało się i do Krakowa dojechaliśmy akurat na próbę, którą zrobiliśmy we dwójkę z przypadkowo wypożyczonym perkusistą, który wystukał rytm z „Prawa”. Próba trwała ok. 2 minut, po czym muzycy stwierdzili, że to im wystarczy. Wszyscy spotkali się wieczorem, na zorganizowanych przez szefa krakowskiego domu studenckiego Wojtkę Kulasę imieninach Janusza Klimenki, przyszłego menedżera „Raz, Dwa, Trzy”.

- Tam spotkaliśmy Jacka Ograbka, muzyka z zespołu Reni Przemek i poprosiliśmy, żeby z nami zagrał — Adam tę imprezę pamięta znakomicie — jako, że piosenki były nieskomplikowane, wręcz proste, to się zgodził.

Rankiem kolejnego dnia muzycy spotkali się w „Żaczku” na jedynej próbie we czwórkę i w bardzo krótkim czasie „przerobili” trzy utwory. Na próbie był m.in. Wojtek Kulasa, który na podstawie tego, co usłyszał, jako pierwszy zawyrokował zespołowi „Raz, Dwa, Trzy” zwycięstwo. Po próbie, około południa 18 maja 1990 r., czterej panowie przebrali się (Ograbek dostosował się do scenicznego *image* grupy) i udali się na przesłuchania konkursowe.

- Przed wyjściem na scenę chcieliśmy się trochę rozluźnić — przypomina sobie Adam — i zaśpiewaliśmy bardzo sprośną piosenkę zawierającą same przekleństwa, żeby sobie udowodnić, że nie przyjechaliliśmy się ścigać, tylko żeby wesoło się bawić i zaśpiewać kilka kawałków. Trochę to zbulwersowało innych wykonawców będących wtedy za kulisami. No i wyszliśmy.

- Muzycznie nasz warsztat wtedy był nawet żaden — dodaje Olejarz — Adam miał fajne teksty i wszyscy byliśmy bardzo agresywni, nie wiadomo dlaczego.

Nowak, Olejarz i Szwałek siedzieli na krzesłach zwróconych w trzy strony świata, ubrani oczywiście na czarno, z zielonymi elementami, wzajemnie się nie widzieli, co zmuszało ich do dokładnego słuchania się. Z tyłu stał, ubrany również na czarno, w zielonym krawacie Ograbek, z kontrabasem.

- Scenicznie byliśmy zrobieni od początku do końca — podsumowuje Jacek — Nie mieliśmy jakiegoś nastawienia, by coś wygrać, raczej chcieliśmy zamieszać.

Zespół wykonał dwie piosenki, „Prawo” i „Talerzyk”, a na życzenie jury, które w 1990 roku było bardzo szacowne, bo i Jacek Kaczmarski, i Przemysław Gintrowski, Jan Poprawa, Jan Kanty Pawлуśkiewicz, Andrzej Sikorowski i Ela Adamiak — trzeci utwór, „Rzekę”.

- Zaraz po zejściu ze sceny jakaś ekipa telewizyjna, kręcąca film o Jacku Kaczmarskim, zapytała mnie, czy wiem, kto jest przewodniczącym jury — wspomina Adam — a ja zgodnie z prawdą powiedziałem, że nie, zresztą nikt z nas nie wiedział, kto jest w jury, a wywołało to straszną salwę śmiechu. Dla nas ważne było to, że dobrze wykonaliśmy piosenki, cieszyliśmy się, że publiczność nas bardzo dobrze przyjęła i klaskała mocno. Dla nas wraz z zejściem ze sceny przygoda z festiwałem się zakończyła, tak nam się wydawało, bo widzieliśmy innych artystów, którzy śpiewali bardzo ładnie i prawie chcieliśmy wracać do domu.

Tego dnia jednak zespół do Zielonej Góry nie wrócił, może z tego powodu, że po występie konkursowym otrzymał kilka propozycji zagrania koncertów i należało przećwiczyć materiał z Jackiem Ograbkiem, na co zespół poświęcił popołudnie i wieczór. Po próbie muzycy udali się na zasłużony odpoczynek, który jednak nie był potrzebny Grzesiowi Szwałkowi bawiącemu

się prawie do rana w klubie „Pod Jaszczurami”. W tym samym miejscu, w trudzie i znoju obradowało jury, skąd jak to często bywa, przeciekały szczątkowe informacje.

- Chyba Kuba Florek, taki dziennikarz mi tę informację przekazał — próbuje sobie przypomnieć Grzegorz — a ja szybko pobiegłem z ekipą do chłopaków i ich pobudziłem.

- Nad ranem obudził mnie huk, straszliwy harmider, otworzyłem oczy — mówi Adam — a tam Klimenko, Wojtek Kulasa, Renia Przymek, Sławek Wolski i zapłakany Grzesiek i zrobiła się afera, że wygraliśmy festiwal. Ja jeszcze zamroczony musiałem pić szampana, później jakieś ekscesy były w tym pokoju, aż w końcu znowu usnąłem.

Bomba wybuchła dopiero rano, przy śniadaniu, w kawiarni „Rotundy”, gdzie jadali goście festiwalowi.

- Tam Alina Pięta* spytała mnie, czy wiem co zrobiłem — niezmiennie od 1990 r. tę wersję przedstawia Adam — wydawało mi się, że podejrzewa mnie o coś bardzo dziwnego, powiedziałem, że nic nie zrobiłem, że się na nic nie zgadzam i w ogóle to nie ja. Ona wtedy powiedziała, że wygraliśmy festiwal i dostaliśmy pięć wyróżnień, co mi zaparło dech w piersiach, ale że byłem po dość ostrej nocy, to tak do końca to do mnie nie dotarło. Dopiero potem, jak rzucili się na nas na festiwalu różni ludzie, chcieli rozmawiać, zobaczyłem moje teksty wydrukowane w jakiejś gazecie, to zaczęło mi się kręcić w głowie. Nie tyle z nadmiaru sukcesu, co z faktu, iż nie potrafiłem tego wszystkiego ogarnąć, nie byłem przygotowany na tak dobre potraktowanie. Nie rozumiałem faktu, iż my wygraliśmy takie wyścigi, tak ważny festiwal.

W werdykcie jury czytamy, iż dyskusja była długa i wyczerpująca (trwała do 4 nad ranem), a zespół „Raz, Dwa, Trzy” otrzymał nagrodę główną w wysokości 2,5 mln złotych, a także trzy nagrody prywatne: Jacka Kaczmareckiego i Przemysława Gintrowskiego (1 mln złotych) i Jana Kantego Pawлуśkiewicza (20 \$), a także Adam otrzymał nagrodę Wojtka Bellona za teksty i *Primus inter pares* za walory muzyczne.

Zwycięstwo w Krakowie wiązało się jeszcze z jednym znaczącym faktem, zespół otrzymał zaproszenie do konkursu „Debiuty” Krajowego Festiwalu Piosenki w Opolu, gdzie pod koniec czerwca roku 1990, zaprezentował utwór „Wchodzi”.

- Nie mieliśmy żadnych oporów przed występem w Opolu, może gdyby to był rok 1988, to byśmy się opierali — twierdzi Grzegorz — ale to było po „okrągłym stole”, szło nowe.

Konkurs stał na niezłym poziomie, do zwycięstwa pretendowali, prócz „Raz, Dwa, Trzy”, m.in. Agnieszka Różańska, Edyta Górniak i Kasia Skrzynecka, która ostatecznie otrzymała główną nagrodę „Debiutów”. Konkurs poprzedzony był warsztatami w Turawie, gdzie początkowo zjawili się tylko

* Alina Pięta — szefowa klubu „Rotunda”

panowie Ograbek, Szwałek i Nowak, bowiem Jacek Olejarz bronił wtedy swojej pracy magisterskiej.

- Na warsztatach uczono nas tańca, solfeżu, baletu, rozśpiewania, itp. spraw — mówi Nowak — którymi wcześniej niespecjalnie się interesowaliśmy. Jednak bardzo chętnie z Ograbkiem chodziliśmy na warsztaty taneczne, stawaliśmy z tyłu i mieliśmy bardzo dobry ogląd sytuacji, jeśli chodzi o partnerki, z którymi później pojawialiśmy się na scenie.

Faktem było, iż w piosence finałowej „Debiutów”, a’la rapowej, trochę pretensjonalnej, Adam Nowak, Grzesio Szwałek i Jacek Ograbek mieli okazję zaśpiewać wspólnie z paniami i panami z konkursu. Chłopakom z „Raz, Dwa, Trzy” przypadła większość tekstu.

- Nie wiadomo dlaczego stwierdzono, że zrobimy to najlepiej — mówi Grzegorz — trzech bystrych, zbuntowanych facetów. My w tej Turawie to w ogóle patrzyliśmy trochę z góry na towarzystwo. Młodzi byliśmy, wygraliśmy Kraków, a nazwiska typu Lech Nowicki czy Zbigniew Górny wcale nas nie ruszały, klimat imprezy za bardzo nam nie pasował. W swoim mniemaniu, to pusiliśmy im całą tę historię, robiliśmy wszystko na opak, oni klaskali, my ręce w górę itd., ale wyszło tak, że pewnie wtopiliśmy się w całość.

Koncert „Debiutów” prowadzili Alicja Resich-Modlińska i Zbigniew Górny, a zespół „Raz, Dwa, Trzy” jako jedyny wystąpił tego dnia na żywo w Teatrze im. J. Kochanowskiego. Utwór „Wchodzi” musiał się spodobać, bowiem zespół, obok m. in. Edyty Górniak otrzymał wyróżnienie i mógł zaprezentować się w koncercie finałowym „Mikrofon i Ekran” w amfiteatrze.

- Mimo że wszyscy twierdzili, że nie potrafimy śpiewać — mówi Jacek Olejarz — że jesteśmy kółki nie do ruszenia, to pozwolili nam zagrać na szybach — a to był nasz cel.

- Występ na szybach w amfiteatrze — dodaje Nowak — zapamiętałem jako duże przeżycie emocjonalne, wystąpiłem w miejscu, gdzie pojawiały się gwiazdy i osoby życia publicznego. W garderobie spotkaliśmy się z Bogusławem Mecem, który był bez kapelusza i stwierdził, że bardzo się cieszy, że nas widzi, że lubi to, co robimy, to mu się podoba i obiecał, że będzie nas słuchał, co nas bardzo podniosło na duchu.

Znaczącą dla historii zespołu stała się prezentacja środowiska studenckiego w zielonogórskim teatrze, w trakcie dorocznego święta miasta — Winobrania we wrześniu ‘90 roku. Grupa zaprezentowała się tam w okrojonym, trzyosobowym składzie, z chorym frontmanem na dodatek. Zabrakło kontrabasisty Jacka Ograbka, który na koncert po prostu nie przyjechał.

- Ograbek wpadł w złe środowisko — mówi Grzegorz — pił za dużo alkoholu, nastąpiła u niego eskalacja żądań, nie dojeżdżał na próby, a miarka się przebrała, gdy nie przyjechał na koncert do teatru, bo nie było płaconych honorariów.

Koncert obserwował Mirek Kowalik, wówczas student V roku wychowania muzycznego WSP w Zielonej Górze, a ponadto basista cowntrowy „Grupy Rogala”.

- Przyszedłem na występ „Raz, Dwa, Trzy” i trochę się zdziwiłem, bo była ich trójka, brakowało basu. Siedziałem w fotelu i okropnie się nudziłem, jako muzyka nie interesowały mnie teksty, a wyłącznie dźwięki, a te mnie zupełnie nie kręciły. Zaskoczony byłem owacjami na stojąco, a przy bisach, pewnie trochę pod wpływem ludzi, zaczęło mi się podobać.

Nowak, Olejarz i Szwałek byli bardzo zadowoleni z przyjęcia, bez specjalnego przerażenia rozstali się z Ograbkiem, a karierę postanowili kontynuować z nowym basistą. Grzegorz zaproponował swego kolegę rodem z Wałbrzycha Mirka Kowalika, którego w pokoju odnalazł Adam.

- Ja się tego spodziewałem — mówi Mirek — bo chłopcy trochę mnie szukali i się zgodziłem, pod warunkiem, że będę grał na gitarze basowej, na co Adam też się zgodził pod warunkiem z kolei, iż w ciągu roku czy półtora przestawię się na kontrabas. Dowiedziałem się wtedy, że mam trzy dni na naukę materiału, bo „Raz, Dwa, Trzy” miało koncert w „Cafe Fiolka” w Warszawie. Dostałem kasety, przerobiłem materiał i potoczyło się bez specjalnych problemów.

W listopadzie zespół w krakowskim studiu telewizyjnym zarejestrował program z cyklu „Uśmiech z Galicji” — „Raz, Dwa, Trzy”. Całość zrealizował i wyreżyserował Dariusz Pawelec, który też wspólnie z Adamem napisał scenariusz. Podkład muzyczny został zarejestrowany w studiu na Krzemionkach z realizatorem Krzysztofem Suchodolskim, który nagrał wszystko na tzw. setkę, na sprzęcie telewizyjnym.

- Nagraliśmy to w jeden dzień, ja wydawałem głos — robi to ponownie Adam — a reszta grała. To bardzo ładnie wyszło i dźwięk, i dobre obrazki.

1991 — zespół w mediach

Program został wyemitowany w programie II w jedną z lutowych niedziel, kilka minut po 23 i zebrał sporo pochlebnych recenzji.

- Taką najszybszą — wtrąca Grzegorz — była wypowiedź Marcina Kydryńskiego w nocnym jazzowym programie w „Trójce”. Mówił o nas dużo i w fantastycznych słowach twierdził, że przybiło go do ziemi i zagrał wtedy „Talerzyk” z festiwalu w Krakowie. To było super przeżycie.

W lutym 1991 roku zespół wchodzi do studia Winicjusza Chrusta, by zarejestrować materiał na pierwszą płytę. Wynajęcie studia w Sulejówku możliwe było dzięki zielonogórskiej „Gazecie Nowej”, która za sprawą menedżera Janusza Klimenki, który tamże pracował, postanowiła pomóc finansowo zespołowi.

Dodatkowo Adam pożyczył od młodego poznańskiego biznesmena 2500 \$ i można było zabrać się do pracy w studiu.

- W siedem dni nagraliśmy materiał na płytę — mówi Adam — po wielu kłótniach, w takiej trochę „chorej” atmosferze. Byłem chory i co rano i wieczór chodziłem do przychodni w Sulejówku i musiałem brać zastrzyk na płuca, bym nie dostał zadyszki przy śpiewaniu. Przed wyjazdem to my nie wiedzieliśmy, jak się nagrywa, wszyscy razem, czy osobno, co to jest „montaż” — byliśmy faktem nagrywania w studiu bardzo zestresowani.

- Całe szczęście — dodaje Grzegorz — że Adam miał bardzo konkretną wizję, jako człowiek niewykształcony muzycznie włożył strasznie dużo pracy w zaaranżowanie tego wszystkiego. Chrust potraktował nas pobłaźliwie, czasem coś dograł nawet, a wyszło jak wyszło. My nie byliśmy zupełnie przygotowani, chociaż ja problemów z nagrywaniem nie miałem, chyba mi się po prostu udało.

- Za to dla mnie — uzupełnia Jacek — to była makabra. Pierwszy raz w studiu. Zamknięty w osobnym pomieszczeniu z szybkami. Nie byłem w stanie nic zagrać. Przechodziłem tam ciężkie chwile. I było fatalnie.

- Ten materiał to nie były moje nagrania, oni zrobili go z Jackiem Ograbkiem i byli przyzwyczajeni do tamtych aranży — wtrąca Mirek — były mi one całkiem obce, ale chyba na tyle dobre, że je zaakceptowałem.

Jeden cały dzień zespół poświęcił na nagranie piosenki „Wchodzi”.

- Strasznie się z tym męczyliśmy — mówi Adam — następnego dnia rano radosny, że jednak nam się udało, wychodzę, a miałem kurtkę z takimi długimi sznurkami i chciałem posłuchać tego, co zrobiliśmy. Zdejmowałem tę kurtkę nad magnetofonem i oczywiście sznurek wkręcił się w szpulę. Pamiętam kilka sekund ciszy oskarżającej mnie. Nikt nic nie powiedział. To była makabra. Wkręciło się 3/4 taśmy, na którą nagraliśmy kilka piosenek. Na szczęście dało się to uratować, nie zniszczyłem tych nagrań i zostały w tej formie.

Strona A: „Policjanci w Warszawie... mhm”, „Ona idzie”, „Talerzyk”, „Każdy ma tyle”, „W każdym razie, w każdej chwili, w każdej knajpie”, „Tak, bo między nami”, „Policjanci w Chicago niszczą stare gazety”.

Strona B: „Mesdames et Messieurs!!! Arnold S. Voil’a!!!”, „...Więc z wami wszystkimi”, „Rytmiczne usiłowanie zabójstwa”, „Wchodzi”, „Sopot piąta rano”.

Wczesną wiosną 1991 r. zespół był gościem Telewizji Śniadaniowej w II programie TVP, gdzie został bardzo ciepło przyjęty przez Alicję Resich-Modlińską.

- Prosto z dworca — wspomina Jacek — trafiliśmy do studia, z worami pod oczami, bowiem specjalnie jechaliśmy pociągiem całą noc, jako że nie było nas wtedy stać na hotele.

Gospodyni programu przedstawiła omyłkowo lidera jako Jana Nowaka, ten trochę speszony tak mówił m. in. o idei „Raz, Dwa, Trzy”: „Dorobiliśmy sobie takie założenie, że prześmiewaliśmy muzykę oraz tekst. Niekiedy

odbierają nas poważnie, a to co robiliśmy, to zdecydowanie prowokacja muzyczna i nie śmiem dodać literacka, ale słowna na pewno". Na pytanie o sens pisania zadane przez Marcina Kydryńskiego, który przy okazji bytności grupy został również zaproszony, Adam Nowak odpowiedział: „Piszę, by przedstawić zawirowania epoki. Fotograf patrzy na jakiś obiekt i musi go sfotografować, bo jest ładny i charakterystyczny. I tak samo jest z pisaniem — jest sytuacja, albo człowiek i są ona lub on, tak ciekawi, że nie napisać o tym jest grzechem”.

O tekstach Nowaka pisało się w ogóle niewiele, bowiem interpretacja sprawiała problemy. W „Gazecie Nowej” w artykule Czesława Markiewicza czytamy: „Najwięcej kłopotów sprawiają teksty. W jednym tylko »Talerzyku« pojawiają się takie oto passusy: »A po ulicach idą, aż słychać, ludzie, bo muszą w coś wierzyć«, »Z niejasnych przyczyn zajmują się niczym«; »Jestem Polakiem, mam na to papier i cały system zachowań«. A więc cynizm i dystans? A może tylko szysterstwo”.

Zostawmy jednak teksty w spokoju, „Raz, Dwa, Trzy” wiosną 1991 stanęli przed nie lada problemem. Płyta „Jestem Polakiem” została nagrana, ale na początku 1991 roku nikt nie chciał jej wydać. Na rynku wówczas istniało tylko kilka firm: Polskie Nagrania, Arston, Tonpress, których to kondycja finansowa była nie najlepsza. Odpowiedzi zawsze były podobne: „kto to kupi?”, „co to za zespół?” „Raz, Dwa, Trzy” decyduje się zlecić Polskim Nagrańom wytłoczenie 1000 czarnych płyt i 3000 kaset, co też się staje. Po odbiór płyt do Warszawy wybierają się Janusz Klimenko i Adam Nowak.

- Jechaliśmy całą noc w deszczu, fiatem pożyczonym od ojca Jasia — mówi Adam — w Warszawie dostaliśmy wszystko oddzielnie i zostaliśmy przed budynkiem Polskich Nagrań z furą kartonów, osobno z płytami, kasetami, okładkami, pudełkami. Makabra. Aby się z tym wszystkim zmieścić, musieliśmy to popakować, poskładać — to trwało dobrych kilka godzin i ruszyliśmy do Zielonej Góry. Janek był tak zmęczony, że miał omamy wzrokowe, jakieś zwidy, ciągle hamował, zwalniał, zatrzymywał się, a ja mu śpiewałem piosenki i opowiadałem dowcipy, by nie zasnął.

Członkowie zespołu zajęli się rozprowadzaniem materiału, chodzili po sklepach muzycznych, dawali płyty w komis, rozdawali. Wpływy ze sprzedaży były dużo mniejsze niż koszty wydania i zarówno Adam Nowak, jak i Janusz Klimenko, którzy zainwestowali w produkcję, mieli kłopoty ze spłatą długu. Zainteresowanych kupnem albumu było niezbyt wielu, może poza Zieloną Górą, gdzie „Jestem Polakiem” sprzedawało się nieźle, aczkolwiek bez rewelacji.

- Nagraliśmy płytę, ale to nic nie dało, zero reklamy, nikt nic nie wie — opowiada Adam — przyszedł moment psychicznego zachwiania, taki marazm. Stosunki między nami bardzo się pogorszyły, wydawało mi się, że zespół nie spełnia wyobrażeń muzyki, którą wymyśliłem, takie dziwne podejrzenia wtedy

miałem. Doszły do tego niesnaski finansowe z Jankiem Klimenką związane z płytą i tak to się trochę chwiało.

Zespół tak całkiem to nie próżnował, bo na krakowskim festiwalu zagrał dwa bardzo dobrze przyjęte koncerty, na których usłyszeć można było premierowe „Siedzą przy stole” i „To ja”. „Finałowy koncert przeszedł bez echa. Najbardziej podobał się laureat ubiegłorocznej imprezy — zespół z Zielonej Góry »Raz, Dwa, Trzy«,” pisała 24 maja 1991 „Rzeczpospolita”. W wywiadzie telewizyjnym na pytanie, co zmieniło w życiu „Raz, Dwa, Trzy” zwycięstwo na festiwalu rok wcześniej, Adam odpowiedział: „zostaliśmy zauważeni, [...], a teraz utrzymuję się z grania, [...] żyje się ciekawiej”. Grupa trafiła na FAME do Świnoujścia, a nawet w sierpniu 1991 po raz pierwszy w swej historii na scenę folkową festiwalu w Jarocinie.

- Panował tam straszny bałagan — twierdzi Adam — trafiliśmy w środowisko rockowe, na chwilę i było fajnie i wesoło.

- Nawet bardzo — dodaje Jacek — pojechaliśmy do Jarocina wypożyczonym przez „Wadar” z komisju volkswagenem na gorzowskich rejestracjach i chłopcy z zespołu „Apteka” wjechali nam w niego białym busem. Jeździliśmy z Jankiem Klimenką do blacharza, który nam go wyklepał, w dodatku za marne pieniądze, tak że nikt w Zielonej Górze w „Wadarze” nie zauważył tego.

Wówczas zespół poznaje Tomka Kopcia z rodzącej się firmy płytowej Pomaton, która wydaje wtedy płyty Jacka Kaczmarskiego, „Wolnej Grupy Bukowiny”. Kopeć wstępnie deklaruje możliwość wydania drugiej płyty zespołu. We wrześniu zespół otrzymuje nagrodę kulturalną miasta Zielonej Góry. W tym okresie telewizja rejestruje koncert „Raz, Dwa, Trzy”, który później pojawia się na szklanym ekranie, jako „Landszafty muzyczne — Raz, dwa, trzy”. Obok siedmiu piosenek z płyty „Jestem Polakiem” zespół rejestruje wówczas utwór „Siedzą przy stole”.

Pierwszego dnia jesieni „Raz, Dwa, Trzy” występuje na koncercie „...jesień idzie — nie ma na to rady” na Górze Szybowcowej koło Jeleniej Góry. Nie dość, że zespół występuje przed największym jak dotychczas audytorium, przed 20 000 osób, to „Talerzyk” trafia jako ich pierwsze nagranie na srebrny dysk, na płytę live z Góry Szybowcowej.

We wrześniu minął rok od rozpoczęcia współpracy Mirka Kowalika z „Raz, Dwa, Trzy”.

- Pierwszy okres był dla mnie bardzo trudny, klimatyzacja była ciężka. Oni w trójkę byli grupą ludzi, która założyła zespół, wygrała festiwal, a ja czułem się trochę jako wynajęty człowiek, aż do momentu, gdy zagrałem z nimi na kontrabasie. Na tę decyzję złożyło się kilka spraw, po pierwsze z gitarą basową nie podobałem się sobie w telewizji, po drugie, to ten instrument, moim zdaniem, nie do końca pasował do „Raz, Dwa, Trzy”, a po trzecie, to przecież obiecałem.

- Gdy Mirek zaczął grać z nami na kontrabasie, to jeszcze kończył szkołę muzyczną — wtrąca Jacek — gdy przyjechaliśmy na koncert trochę wcześniej, to wyrzucał nas z garderoby, rozkładał swoje nuty i piłował te swoje muzyki poważne.

- To nie było takie śmieszne — uzupełnia Mirek — chłopcy balowali, szli do znajomych, pili piwo, odpoczywali, a ja brałem smyczek i non stop wykonywałem ćwiczenia ze szkoły muzycznej.

W listopadzie do zespołu dokooptowany zostaje nowy muzyk — kuzyn Adama, syn Gerarda, Marek Nowak, klawiszowiec i realizator w jednej osobie.

- Gra z Markiem to było nowe doświadczenie — twierdzi Mirek Kowalik — nowy, dobry muzyk, nowe pomysły. Zmusiło nas to do aktywniejszej pracy, a że po czasie zgodnie stwierdziliśmy, że kierunek ten nie był najlepszy, że klawisz nie pasuje do tej muzyki, to już zupełnie inna sprawa.

W ostatnich tygodniach 1991 roku zespół przygotowuje, znów z Darkiem Pawelcem, program telewizyjny „To Ja”. Ścieżka dźwiękowa zostaje zarejestrowana w Studiu „Arlekin” w Zielonej Górze. Obrazki zostają zarejestrowane w Krakowie, a są kręcone na podstawie pomysłów Darka Pawelca, Adama Nowaka i jego późniejszej żony Doroty.

- To nie jest tak fajny program, jak obrazki z „Jestem Polakiem” — mówi Adam — ale dobrze się go ogląda, zwłaszcza wideo „To ja” ciągle mi się bardzo podoba.

1992 — wejście na scenę festiwalu

Na początku 1992 roku zespół rozstaje się, a może z zespołem rozstaje się dotychczasowy menedżer Janusz Klimenko, a interesami zespołu zajmuje się od tego czasu firma J. P. Trading (później ABI) w osobach Mirka Gancarza i Henryka Buraczewskiego. Zespół definitywnie przestaje jeździć pociągami, a porusza się po kraju najpierw mercedesem benzem, a później nissanem „Blue Bird”.

Przez maj, czerwiec i połowę lipca zespół „Raz, Dwa, Trzy” nagrywa w studiu „Arlekin” materiał na drugą płytę. Sesję sponсорują władze miasta Zielonej Góry, wszystko realizuje Marek Nowak, który też wspólnie z Adamem spełnia funkcję producenta.

- Praca była okropna. Studio „Arlekin” rządzi się swoimi prawami, przychodzi tam mnóstwo osób, co pół godziny ktoś ma coś do załatwienia, co 15 minut dzwoni telefon i skoncentrować się na pracy jest tam bardzo trudno — to jest makabra. Kombinowaliśmy, mydliliśmy, każdy miał swój pomysł, nie było z nami osoby, która by nad tym wszystkim panowała. Każdy pomysł nagrywaliśmy, sprawdzaliśmy, co było bez sensu i mi zupełnie nie odpowiadało. Marek kupił wtedy do studia bramki szumów i moje bębny były nagrywane w niesamowity sposób. Najpierw ślad na werblu, bramkowanie,

później na hajhecie, potem przejścia, blachy, itd. Dochodziło do momentu, że nie wiedziałem, co mam grać.

- Niemilo wspominam nagranie tej płyty — zdanie kolegów podziela Mirek — była demokracja, czyli większość decydowała np. o tym, czy to, co zagrałem, było dobrze zrobione, miałem za mało czasu, byłem zestresowany, za dużo osób obserwowało mnie z drugiej strony szyby i krytykowało. Wtedy miałem duże problemy z improwizacją, ale w studiu stała się bardzo ważna rzecz. Nagrywaliśmy utwór „Mądrej Głowie”, który zresztą nie znalazł się na płycie, bo firma uznała, że jest za smutny i nie pasuje do całości, a Marek Nowak poprosił mnie, abym poimprowizował na kontrabasie, ja oczywiście bohater, próbuję grać, ale nie wychodzi. Marek zdziwił się, że taki muzyk ze świadomością harmoniczną, po szkole, a nie potrafi grać improwizacji. Była pierwsza w nocy, Marek zmęczony całą sytuacją, zaprogramował fortepian, żeby taśma się cofała i usnął. A ja po godzinie, może dwóch obudziłem go i powiedziałem, że mam. Nauczyłem się. I od tego czasu jest już O’K.

- Była to męczarnia — podsumowuje Adam — i trwała bardzo długo. Po części dlatego, że nagrania nie wychodziły, że ciągle się kłóciliśmy, że Mirek między nagraniem jednej a drugiej piosenki naprawiał stojącego pod studiem swojego trabanta, że Grzegorz był chory, miał kłopoty z wargami i nie mógł grać na klarncie itd., itp., całe mnóstwo nieprzyjemnych spraw.

W końcu materiał został zarejestrowany, zmiksowany i gotowy do wydania czekał do '93 roku, kiedy płytę „To ja” wydał Pomaton.

Po ciężkiej i żmudnej pracy w studio i krótkich wakacjach, zespół przed festiwalem w Jarocinie rozstał się z Markiem Nowakiem.

- Pierwszym niepokojącym momentem było to — mówi Adam — kiedy Marek usiadł na próbie z klawiszem i okazało się, że gra wszystko, i linię basową, i perkusję, i usiedliśmy, i patrzyliśmy, jak Marek Nowak gra i tworzy. Problem drugi był z usadowieniem Marka na scenie. Wymyślaliśmy różne rzeczy, a skończyło się tak, iż siedział naprzeciwko Jacka i patrzył mu w oczy. Ale to nie było powodem rozstania. Po prostu nie miał ochoty pojechać z nami na koncert do Jarocina, no i nie pojechał też na żaden inny z następnych koncertów.

Koncert w Jarocinie był o tyle istotny, iż Jacek zagrał tam po raz pierwszy na pełnym zestawie perkusyjnym.

- Wtedy okazało się — mówi Adam — że nie jest to muzyka kameralna, klubowa, tylko okazało się, że jest to muzyka niosąca specyficzny rytm i puls. Od wtedy zaczęliśmy trochę inaczej myśleć o muzyce.

Pod koniec sierpnia 1992 zespół wystąpił także po raz pierwszy z półplaybacku — w konkursie Grand Prix festiwalu w Sopocie.

- To było oszustwo — twierdzi Kowalik — a ja nie lubię okłamywać ludzi, w dobie dzisiejszej techniki wszystko można świetnie zagrać na żywo, brzmi to równie dobrze — trzeba tylko lubić i umieć grać.

Na molo w Sopocie grupie na saksofonie, a może z saksofonem towarzyszył Mirek Gancarz — ówczesny menedżer, a publiczność usłyszała utwory „Talerzyk” i „Nie pal”, do którego to numeru wcześniej Darek Pawelec nakręcił wideo.

- Piosenka „Nie pal” zarówno w 1992 roku, jak i w kilku następnych towarzyszyła wszelkiego rodzaju „Dniom bez papierosa” w rozgłośniach i telewizjach całej Polski — mówi zaciągając się Adam.

W Sopocie „Raz, Dwa, Trzy” sukcesu konkursowego nie odnosi, ale za to finalizuje sprawę wydania przez Pomaton materiału „To ja”.

- Wtedy Tomek Kopeć przysłał nam umowę, która miała jedną stronę - twierdzi Nowak - później miała trzy, potem pięć - takie umowy zaczynały już wtedy mieć charakter coraz bardziej profesjonalny.

Jesienią tego roku odbył się jeszcze jeden ważny koncert. 10 października 1992 r. w Teatrze Ziemi Lubuskiej ma miejsce jeden z pierwszych koncertów WOŚP. Na imprezie obok m. in. Jurka Owsiaaka i „Raz, Dwa, Trzy” pojawia się zespół „Voo Voo”.

- Zналиśmy wcześniej twórczość Wojtka Waglewskiego — opowiada Adam — ale wtedy pierwszy raz zobaczyliśmy „Voo Voo” na koncercie, taka otwartość grania, takie wspólne tworzenie koncertu z publicznością, strasznie nam się spodobało i coś w nas się stało, myśleliśmy od wtedy trochę inaczej o muzyce. We mnie zmieniło się to o tyle, że przestałem narzucać zespołowi, co każdy ma grać, wymyślać linie melodyczne i aranżacje, na rzecz wspólnego, własnego wymyślenia, co każdy chce robić w piosence. Przestałem rządzić w zespole, a jedynie podawałem propozycje, które wcale nie musiały być akceptowane.

Koncert WOŚP był dla zespołu ważny z jeszcze jednego powodu: obserwowała go Basia Peters ze Szwajcarii, która obiecała, w co chłopcy nie do końca wierzyli, zaproszenie na występy do jej rodzinnego kraju. Basia słowa dotrzymała, zaprosiła zespół do Szwajcarii na początku 1994 roku, ale o tym później.

1993 — promocja piosenki studenckiej

Rok 1993 to przede wszystkim wydanie płyty „To ja” przez Pomaton, któremu to „Raz, Dwa, Trzy” oddali gotowy materiał w zamian za procent ze sprzedaży. Przy okazji wydania nowej płyty Tomek Kopeć odkupuje od zespołu resztę nakładu „Jestem Polakiem”, która długo zalega w magazynie, sprzedawana przede wszystkim przez samych „Raz, Dwa, Trzy” na koncertach. Dziś kaset i płyt kupić oczywiście już nie można, stały się „białymi krukami”. A płyta „To ja”?

„Śpiewa Wiesław”, „Kardynałny błąd”, „Kto odchodzi w białe noce”, „Nieudacznik on”, „To ja”, „Nie pal”, „Uśmiechniętej ludzkości”, „Siedzą przy stole”, „Gdybym miał złoto”, „Policjanci w Sztokholmie gonią się po sexshopie”, „Pieśń egzystencji”, „Proszę mych słów”.

Bonus: „Talerzyk ('92)”, „Sopot 5 rano ('92)”, „Ona idzie”, „W każdym razie, w każdej chwili, w każdej knajpie”, „Wchodzi”, „Policjanci w Warszawie...mhm”.

W „Gazecie Wyborczej” płyta otrzymała 4 i pół gwiazdki w pięciopunktowej skali: „Jeśli jest to piosenka studencka, to znaczy, że ten zmęczony gatunek doczekał się swego odnowiciela. Jeśli zaś »Raz, Dwa, Trzy« to zespół rockowy, mamy do czynienia z objawieniem na miarę Toma Waitsa. Nietypowe instrumentarium (klarnet, kontrabas, perkusja i gitara klasyczna) nadaje muzyce »Raz, Dwa, Trzy« miękki ton charakterystyczny dla kabaretowej piosenki francuskiej. Teksty ironiczne, ale nigdy złośliwe wobec ludzkich przywar i wad. »To ja« to jedna z płyt roku 1993”.

Mysłcie: myśli się myśla — tak zatytułowano recenzję w „Rzeczypospolitej”: „Zespół »Raz, dwa, trzy« konsekwentnie przeczy obiegowej opinii o głębokim kryzysie w nurcie piosenki studenckiej [...] Najciekawsze są utwory nowe, dopiero od niedawna grane przez „»Raz, Dwa, Trzy« na koncertach. Potwierdzają one przypuszczenie, iż swoje powodzenie zespół zawdzięcza zerwaniu z tym, co dotychczas rozumiano przez kanon piosenki studenckiej. Zamiast smutnych facetów z rozstrojonymi gitarami mamy więc niezły muzycznie ansambl, w którego brzmieniu dominuje klarnet i inne dęciaki. Nowak w swoich piosenkach nie zbawia świata ani nie nawołuje do kolejnych rewolucji”.

O ile mi wiadomo, zespół „Raz, Dwa, Trzy” wywodzi się z nurtu tzw. piosenki studenckiej, a więc twórczości budzącej we mnie „uczucia ambiwalentne”. Trafia bowiem ona zawsze do serca tylko najczęściej zupełnie niepotrzebnie przez uszy. Muzyka „Raz, Dwa, Trzy” podarowana „uśmiechniętej, rozumnej ludzkości” na całe szczęście stanowi wartość samą w sobie, wymykającą się lub raczej uciekającą w popłochu przed kanonem „studenckiego” śpiewania. Jest więc ona: — po „raz” — pewnym, mniej lub bardziej skutecznie wykonanym pomysłem na brzmienie, w dodatku momentami swinguje, — po „dwa” — nikt w owej grupie nie robi więcej, niż potrafi (bardzo rzadkie!), — po „trzy” — w sferze komunikatu słownego zespół uchronił się znakomicie przed studenckim zgrywsowstwem, rozmemlaną liryką spod znaku Marii Konopnickiej, nie poucza, nie uzdrawia, nie wartościuje i nie podlizuje się. Jest to gorzka, ironiczna, męska opowieść o różnych przejawach egzystencji, momentami bez litości chłuszcząca nasze własne, nabzdyczone, „bogoojczyźniane” ego (do tego wszystkiego nie da się nawet, cholera, zapalić!) (Wojtek Waglewski 1993).

- Po wydaniu płyty — mówi Grzegorz — stosunek do nas w Zielonej Górze trochę oziębł, wszyscy doszli do wniosku, że zrobiliśmy karierę, że się odsuwamy od miasta i może stąd mniej się o nas mówiło, mniej pisało. W Zielonej Górze zresztą zawsze oczekuje się od nas cudu, podobnie jak w Warszawie, to są dla nas dwa najtrudniejsze miasta, jeśli chodzi o granie koncertów.

Promocja płyty „To ja” była umiarkowana, wokół zespołu niewiele się działo. Wiosną pojawił się nowy menedżer Bartek Hejmej, który sprawował

swe obowiązki do października, najpierw dobrze i zespół za dużo grywał, potem trochę gorzej.

- Na koncerty przychodziło ciut więcej osób — wspomina 1993 rok Mirek — ale i tak frekwencja była taka sobie, może z wyjątkiem Wrocławia i Krakowa, gdzie zawsze było pełno.

W Krakowie zespół zarejestrował także kolejny program telewizyjny, wyreżyserowany przez Darka Pawelca, tym razem był to koncert.

- Próby nie wyszły — opowiada Adam — w końcu zagraliśmy 3/4 koncertu na pełnych emocjach i obrotach i Darek przerwał sztukę, bo światło było nieodpowiednie, czy coś tam jeszcze i zaczęliśmy od początku. Ja nie miałem głosu, siły itp. i to nie był dobry występ.

W czerwcu zespół wystąpił z koncertami na żywo na antenach Radia „Zachód” i „Trójki”, a we wrześniu na Muzycznej Scenie Teleexpressu. Notabene właśnie „Raz, Dwa, Trzy” otrzymali nagrodę za objawienie 1993 roku, za „To ja” od Teleexpressu.

Jesienią 1993 roku zespół przeżywał kryzys, właściwie przestał grać koncerty, a muzycy zajęli się innymi sprawami. Mirek Kowalik np. grał w knajpie w Wałbrzychu.

- Nie wstydzę się tego — mówi — to jest dobra szkoła gry, poza tym wierzyłem w Adama i w rację bytu „Raz, Dwa, Trzy”, wszyscy wierzyliśmy w przyszłość, nikt nie zrezygnował. Adam Nowak też przeżywał kryzys i sprzedawał wówczas jeansy na bazarze we Wrześni.

- Jeansy szły bardzo dobrze — twierdzi — miałem dobre źródło. Zaczęło to wyglądać niebezpiecznie, bo wtedy jesienią 1993 roku zacząłem dziennie zarabiać 2-3 miliony. Było to niepokojące, bo wcześniej zarabiałem po 3 miliony miesięcznie z zespołu. Musiałem wtedy pracować ciężko, utrzymywałem rodzinę. Zosia miała pół roku, więc wstawałem o 5.00 rano, jeździłem do Wrześni, byłem tam do 17.00, wracałem do domu, jadłem kolację i wieczorem siadałem do pisania tekstów. Wtedy napisałem najwięcej piosenek, pisałem pod „Czwórkę”. Powstały wtedy „I tak warto żyć”, „W wielkim mieście”, „Trwajmy” i szło to bardzo dobrze. Na każdą próbę, a spotykaliśmy się raz na dwa tygodnie, przynosiłem nowy utwór.

W październiku interesy zespołu przejął Jacek Olejarczyk, który sprawował te obowiązki do maja 1994 roku, dzięki czemu zespół po przerwie od grudnia ponownie zaczął grywać koncerty, jeżdżąc na nie białym fiatem kombi, tzw. „karetką” Adama. W zielonogórskim studiu „Arlekin” zarejestrowali kilka piosenek demo, które zaczęły pojawiać się w Radiu „Zachód” w Zielonej Górze i w Radiu „Mercury” w Poznaniu. Wtedy m.in. powstała pierwsza studyjna wersja „Złotych zębów” i kolejna „I ja doczekam” („W wielkim mieście”).

Do piosenki „W wielkim mieście” nakręcono trzy różne teledyski. Pierwszy w 1992 r. w supersamie „Melon” w Zielonej Górze i w Poznaniu, a nakręciła go telewizja „Vadar”; wyreżyserował sam Adam Nowak.

- Napisałem też scenariusz — uzupełnia Adam — realizowałem to, byłem kostiumologiem, operatorem światła, stałem trochę za kamerą i jeszcze występowałem w tym obrazku. Wszystko robiłem.

Dźwięk do pierwszej wersji zarejestrowano w studiu „Giełda” w Poznaniu. Rok później, w 1993 r. kolejną wersję wyreżyserował w Krakowie Darek Pawelec, a dźwięk zarejestrował Jacek Mastykarz w swoim krakowskim studiu. Ostatni (jak na razie) teledysk powstał na zlecenie katolickiej telewizji „Raj”, wyreżyserowany przez Sadurskiego w 1995 roku. Dzięki temu piosenka ta już w 1992 roku stała się gwiazdkowym przebojem w „Mercurym” i w Radiu „Zachód”, w 1993 r. w „Zetce” i kilku innych stacjach. W 1994 r. mogła być grana właściwie wszędzie, dzięki temu, że znalazła się na „Czwórce”, a „Raj” jeszcze raz przypomniał utwór „W wielkim mieście” w 1995 roku.

1994 — poszukiwanie menedżera

Jak to się stało, że „Raz, Dwa, Trzy” pierwszą połowę lutego spędzili w Szwajcarii?

- Ja się przed świętami dowiedziałem, — mówi Adam — że dzwoniła Basia ze Szwajcarii, ta, która widziała nas w Zielonej Górze na koncercie WOŚP i prosiła, bym się z nią szybko skontaktowałem. Przestraszyłem się tej rozmowy, bo znałem tylko 150 słów po angielsku, ale zadzwoniłem. Rozmowa była piękna, nie zapomnę jej do końca życia. Stałem na stacji benzynowej, miałem trzy karty magnetyczne i usiłowaliśmy się dogadać, czego ona ode mnie chce, a przede wszystkim to, co ja rozumiem. Jako, że się bardzo lubiliśmy, to nam jakoś poszło. Ludzie na tej stacji patrzyli na mnie jak na idiotę, który gestykulował mówiąc do słuchawki trochę po angielsku, trochę po polsku, po niemiecku i po francusku - i trochę w języku, którego nie rozumiałem i nie rozumiem do dziś. Uzgodniłem z Basią warunki techniczne koncertu, powiedziałem, kto ma przyjechać, itd. Ja pojechałem tam z trochę mniejszymi kompleksami, jeśli chodzi o angielski, a wróciłem prawie bez kompleksów, bo mówiłem bardzo prostym angielskim, ale prawie wszystko. Wyjechaliśmy na kilkanaście dni, na 5 koncertów, które Basia sama ze swoim przyjacielem załatwiła, a nawet częściowo wyłożyła na nie pieniądze.

I „Raz, Dwa, Trzy” trafili do Szwajcarii, gdzie zagrali kilka nietypowych koncertów.

- Pierwszy nasz występ miał miejsce przy otwarciu wystawy obrazów — odtwarza fakty Adam — był całkiem bez nagłośnienia, ale za to w takim znanym alternatywnym klubie w Zurichu. Ja chodziłem po klubie z gitarą, a chłopcy stali w miejscu, było niedużo osób, ale za to im się podobało.

Kolejny koncert „Raz, Dwa, Trzy” zagrali w tym samym klubie „Palais X-Tra”, ale już z pełnym nagłośnieniem, z reklamą radiową i prasową i na dodatek w sobotę, dzięki czemu publiczności było sporo.

- Zagraliśmy bardzo międzynarodowo — twierdzi Adam — śpiewaliśmy po polsku, a ludzie wiedzieli, o co chodzi, to był dla nas bardzo ważny przełomowy moment, później grało nam się znacznie łatwiej. Trafiliśmy do Berna, do nielegalnego klubu (bowiem w Szwajcarii po 23.00 istnieje zakaz handlu i występów, aż do 6.00 i jest wszystko pozamykane), gdzie trochę jak na „Blues Brothers” musieliśmy czekać na publiczność, która mogła, lecz nie musiała się zejść. Sporo osób jednak przyszło i my zagraliśmy w tej okropnie zadymionej knajpie. Towarzystwo gadało, piło piwo i zrzucało się na zespół, który grał, czyli na nas. Przeciętnie zespół zbierał tam około 120 franków, nam udało się otrzymać ich 350, co oznacza, że bardzo się podobałiśmy.

W Szwajcarii zespół zagrał jeszcze jeden „nielegalny” koncert, w piwnicy na zamówienie producenta muzycznego i właściciela sieci kondomierii, a na zakończenie pobytu wystąpił w restauracji „Killer” w Turgi.

Pod koniec lutego, przy okazji koncertu i rozdania nagród na Muzycznej Scenie Teleexpressu, zespół poznaje Martynę Jakubowicz, która po obejrzeniu występu zgadza się na objęcie od maja obowiązków menedżera. Wtedy też klaruje się koncepcja znalezienia producenta płyty i pomysł zaproponowania tej funkcji Wojtkowi Waglewskiemu.

- Nie wiem, kto to wymyślił — nie ukrywa Adam — albo Martyna, albo Tomek Kopeć, nie było mnie przy tym. Nie wiedzieli jedynie, czy się zgodzi, ale po pewnym czasie w Poznaniu ktoś mi powiedział, że posłuchał koncertu i wyraził zainteresowanie wspólną pracą.

Zanim zespół spotkał się z producentem, w ostatni weekend marca na wrocławskim „Łykendzie” wydawca Tomek Kopeć, który wcześniej podpisał z zespołem kontrakt na trzy płyty z opcją przedłużenia po wydaniu pierwszej, wyraził poważne obawy co do jakości albumu, nad którym zespół pracował.

- Pokłóciłem się z nim, że wodzi nas za nos — z dumą mówi Mirek Kowalik — obiecuje, a potem odwleka, powoli rezygnuje. Stwierdziłem, że nie możemy mu ufać.

Na przełomie kwietnia i maja „Raz, Dwa, Trzy” spotyka się na dwóch próbach w „Remoncie” z producentem płyty Wojciechem Waglewskim.

- Na pierwszej próbie — opowiada Mirek — Wojtek zjawił się po przesłuchaniu kasety demo, z propozycjami zmian, zwłaszcza aranży, które nie za bardzo mu się podobały. Baliśmy się tego spotkania, czy nie odbierze nas jak ciemniaków z prowincji, co nie potrafią grać i trzeba będzie ich od początku uczyć. Na szczęście pierwszy kontakt okazał się rewelacją, zrozumieliśmy się, Wagiel stwierdził, że nie będziemy tu siedzieć dwa tygodnie, jak chciał Pomaton, tylko dziś zrobimy sobie aranże, jutro się spotkamy, przypomnimy sobie to, co przerobiliśmy, dostaniemy kasetki i zrobimy z nimi, co będziemy chcieli. Tak też się stało.

Z Warszawy „Raz, Dwa, Trzy” trafili do Krakowa, do studia „JM” Jacka Mastekarza, gdzie zarejestrowali 13 piosenek na „Czwórkę”.

- Tytuł płyty — porządkuje fakty Adam — wymyślił Wojtek, wspólnie poukładaliśmy numery na płytę, ja ją opisałem, no i już.

- Wagiel obrócił płytę — twierdzi Jacek — całkiem w drugą stronę, przynajmniej jeśli chodzi o sekcję rytmiczną.

- Bębny i bas nagraliśmy z Jackiem w dwa dni — dodaje Mirek — wyglądało to tak, że po zarejestrowaniu naszych partii w numerze wychodziliśmy ze studia i pytaliśmy Wojtkę, co poprawić, on najczęściej mówił, że nic, słuchaliśmy i faktycznie było dobrze.

- Wagiel odegrał bardzo dużą rolę — uzupełnia Grzegorz — ale melodie były nasze, nie wtrącał się w podstawy muzyki, np. „Pod niebem pełnym cudów” czy „I tak warto żyć” były od początku do końca nasze. Wojtek pozmieniał rytmy, z zespołu swingowo-waitsowskiego staliśmy się taką pulsującą — kołyszącą formacją.

- Wojtek oprócz tego, że był producentem „Czwórki”, grał na gitarze, to stał się naszym kolegą — wspomina Mirek — chodziliśmy razem na obiad, do knajpy, przez cały okres współpracy nad płytą był z nami. Ufaliśmy mu jako starszemu, bardziej doświadczonemu koledze. Ufaliśmy może nawet za mocno, co słysząc na płycie, ale nie można nam się dziwić, bo to był nasz pierwszy kontakt z nim i nie do końca wierzyliśmy w swoje siły.

Po nagraniu „Czwórki” okazało się, że brzmienia albumu nie można odtworzyć w czteroosobowym składzie. Zespół stanął przed zadaniem znalezienia gitarzysty.

- Przeprowadziłem na próbę Sławka Kwiatkowskiego — opowiada Adam — on nauczył się piosenek i miał być na początku muzykiem wynajętym, tzw. kandydatem na członka zespołu. Sławkowi bardzo na tym zależało, by zostać pełnoprawnym muzykiem, my pewnie trochę się pospieszyliśmy, ulegliśmy i po dwóch miesiącach stał się piątym panem z „Raz, Dwa, Trzy”. Jeszcze śmieszniejsza historia wiąże się z okładką „Czwórki”, gdzie są zdjęcia Kwiatka, który nie wydał tam żadnego dźwięku, a na dodatek nie ma na niej o nim ani słowa wzmianki.

- Kwiatek to gitarzysta rockowy — dodaje Mirek — aby z nami grać, musiał kupić sobie gitarę akustyczną. Dobrze sobie na niej radził, grając dźwięki wymyślone przez Wagiela, a to nie było łatwe.

Sławomir Kwiatkowski po raz pierwszy z zespołem zagrał w czerwcu, w zielonogórskim klubie „Zatem” na koncercie zorganizowanym w Światowym Dniu Walki z Aids. Krótko później, już ze Sławkiem na gitarze, w Buckleinie Darek Pawelec zarejestrował koncert „Raz, Dwa, Trzy”, który został wyemitowany w grudniu w TVP 2 i TV Polonia.

- To był dziwny występ — pamięta go doskonale Adam — lipiec, 40°C, wszystko oczywiście podporządkowane warunkom telewizyjnym; przyszło

kilkanaście osób, bo reszta była na wakacjach, ale podobno im się podobało — to było zadziwiające.

Po wakacjach w październiku ukazała się płyta „Cztery”.

a(1). żyjemy w kraju, b(1). w wielkim mieście, c(1). ciało ziemiste, d(1). różana aleja, e(1). sextelefon, f(1). czekam i wiem, g(1). nikt nikogo (i tak warto żyć), h(?). a poza tym, i(1). trwajmy, j(1). złote zęby, k(1). pod niebem, l(1). p.w p.p.f., ł(1). zapominamy kto był.

Absolutna rewelacja na naszym rynku. Łyk źródlanej wody [...]. Muzyka, którą grają, daleka jest od tego, co w naszym kraju modne czy wręcz obowiązkowe [...]. Zespół bowiem powoli acz konsekwentnie buduje swój własny styl. Na poprzedniej płycie byli jeszcze blisko tzw. muzyki studenckiej. Na albumie „Cztery” znaleźli już sposób na własne granie (LEWY.PRAWY, „Ekspress Wieczorny”, listopad 1994 r.).

[...] trochę mi szkoda „uogólnionego” Nowaka i całego „Raz, Dwa, Trzy”. Trochę brakuje tych dawnych „konkretów” — soczystych kawalków z „Jestem Polakiem”, kiedy talerzyk leciał na ziemię, a faceta dręczyli paragrafem... (Zdzisław Haczek, „Gazeta Lubuska” 1994, nr 251).

„Czwórka” kipi od głosów i odgłosów. Głosy (jednego i tego samego wokalisty) odwiedzają skale, barwy i tony MALEŃCZUKA, szybkiego KAZIKA, a w końcu samego Waitsa. Odgłosy instrumentów także przywołują różne skojarzenia, przypuszczenia, wspomnienia, etc. Folkowy czad z regalowym oddechem, suche, tajemnicze i przestrzenne dźwięki perkusji, doskonale oddające lekko nerwowy klimacik knajp i barów, w których zwykł przesiadywać i bywać Waits, psychodeliczne brzmienie muzycznej oprawy „Twin Peaks”, czy polskich filmów z lat sześćdziesiątych (Artur Podgórski, Brum).

Krótko po wydaniu płyty zespołem „Raz, Dwa, Trzy” zainteresowała się także telewizyjno-radiowa „Muzyczna Jedyńka”, na której to zlecenie Jacek Kęcik nakręcił pierwszy w pełni profesjonalny teledysk do piosenki „I tak warto żyć”.

- To był jeden listopadowy dzień — mówi Adam — pracowaliśmy od ósmej do ósmej i powstał teledysk, który bardzo się w telewizji spodobał. Dotarliśmy do któregoś tam miejsca, ludzie przysyłali kartki i tak to się potoczyło.

W międzyczasie „Raz, Dwa, Trzy” oczywiście koncertowali promując „Czwórkę”.

- To były inne występy — mówi Grzegorz — ludzie już nie siedzieli, jak przy „To Ja”, i nie zastanawiali się, co artysta chciał przez to powiedzieć, tylko tańczyli, skakali, bawili się, bardzo dużo dzieciaków przychodziło.

Na koncertach zespół występował także w nowych strojach, które zastąpiły wcześniejsze czarno-zielone wdzianka. Muzycy ubrani byli w płócienne koszule i przykrótkie portki, a’la pastuszkowie od Chełmońskiego.

1995 — zmiana partnerów i promotorów

Początek roku to rezygnacja ze współpracy z Martyną Jakubowicz.

- W końcowym rozrachunku — twierdzi Grzegorz — współpraca z Martyną wyszła na minus, zwłaszcza sprawy koncertowe, ale wszystko, co się działo wokół „Czwórki” przed i zaraz po jej wydaniu, to kawał bardzo dobrej roboty. Martyna znakomicie się sprawdziła, kiedy trzeba było szybko dużo spraw dobrze załatwić.

Od marca o interesy zespołu dba impresariat Marka Karlsbada. W 1995 roku „Raz, Dwa, Trzy” gra bardzo dużo koncertów, jak nazywa je Adam Nowak, rock’n’rollowych, stojących, dla przede wszystkim młodej publiczności.

- Wychodzimy z założenia — twierdzi Mirek — że czasem warto zagrać za mniejsze pieniądze, by mieć ciągły kontakt z publicznością, by występować często. To są najlepsze lekcje grania i największa przyjemność zarazem. Od pięciu lat gramy koncerty — dodaje Grzegorz — jesteśmy grupą koncertową, to nasze główne zajęcie.

Dzięki temu, iż w kierownictwie telewizyjnej „Jedynki” pracowało wielu sympatyków „Raz, Dwa, Trzy”, a teledysk do piosenki „I tak warto żyć” bardzo się podobał, Jacek Kęcik mógł na zlecenie telewizji nakręcić kamerą filmową wysokobudżetowy program zatytułowany „Cztery”. Film o konstrukcji parafabularnej opowiadał o historii dwóch mężczyzn (Jana i Adama Nowaków) i jednej kobiety na przestrzeni czasu. Jacek Kęcik pracował z zespołem przez pięć marcowych dni zdjęciowych i ze współpracy był zadowolony. „Nie dopuszczałem, aby ktoś miał jakieś kaprysy — zresztą współpraca z »Raz, Dwa, Trzy« była rewelacyjna”. W wywiadzie telewizyjnym Jacek Kęcik był usatysfakcjonowany efektem: „Mam nadzieję, że widzowie nie będą się śmiać z nas, tylko z tego, co wymyśliliśmy.” Liczba mnoga w słowach Jacka Kęcika jest prawdopodobnie wyrazem skromności, bo był on autorem scenariusza, dialogów i reżyserem w jednej osobie.

- Jacek przysłał mi scenariusz do domu — przy okazji pobytu w telewizji takie słowa wypowiedział Adam — w takiej wielkiej kopercie. Scenariusz w plastikowej okładce, który wyglądał jak książka, co mnie ogromnie zdziwiło i tym zaimponował mi bardzo. Przeczytałem to i zadzwoniłem do Jacka, mówiąc mu, że tak to właśnie zrobimy.

Program „Cztery” telewizja emitowała kilkakrotnie, a jego premiera miała miejsce w czasie ogromnej oglądalności w II dzień Świąt Wielkiej Nocy, 17 kwietnia 1995 roku, tuż przed Teleexpressem.

W czerwcu podczas festiwalu w Opolu grupa „Raz, Dwa, Trzy” po raz pierwszy wykonuje piosenkę „Sufit”, utwór tytułowy płyty, która ukazała się dziewięć miesięcy później, w marcu 1996. Zanim doszło do wydania, a wcześniej do nagrania nowej płyty, zmienił się skład zespołu. Po koncercie „Gitarą i piórem” w Borowicach, 5 sierpnia „Raz, Dwa, Trzy” pożegnało się

z gitarzystą Sławkiem Kwiatkowskim. Powody jego odejścia tak wyjaśnia lider Adam Nowak:

- Na pewne rzeczy muzycy „Raz, Dwa, Trzy” muszą się zgodzić, są takie jakby podstawy, respektowane przez Grześka, Jacka i Mirka, którzy mnie jako lidera zawsze akceptowali. Sławek natomiast miał z tym pewne problemy. To bardzo trudno wyjaśnić. Może spróbuję na przykładzie. Gdy proszę Jacka, by przestawił perkusję trochę na lewo, bo tak będzie lepiej dla obrazka na scenie, będzie go lepiej widać, to nie robi żadnych problemów. Kiedy prosiłem Sławka, by się cofnął, bo stoi za blisko publiczności, a jest wysoki i psuje to obrazek sceniczny, a on mówi, że nie zrobi tego. Ja nie chcę z nim dyskutować, wyrzucać go i traktować jak ucznia, bo jest dorosłym człowiekiem, muzykiem. Suma takich zachowań, niepokojących mnie, zdecydowała o tym, że podziękowałem mu za współpracę.

Po zagranium kilku koncertów w czteroosobowym składzie okazało się, że brakuje drugiej gitary i zespół stanął przed problemem znalezienia nowego gitarzysty. Jarka Trelińskiego muzycy z „Raz, Dwa, Trzy” kojarzyli z jazzowego duetu Kulczyński-Treliński, spotykali się od czasu do czasu na koncertach i imprezach we Wrocławiu, ale nie znali nawet jego adresu.

- Tu bardzo pomógł nam — mówi Mirek — nasz kierowca Leon (były marynarz, niesamowity człowiek, kolega, przyjaciel, prawie członek zespołu, który organizuje nam czas wolny, dzięki niemu gramy w piłkę, latem pływamy, pieczemy kielbaski), który znał namiary do Jarka, umówił nas z nim w knajpie we Wrocławiu. Spotkaliśmy się tam, zaproponowaliśmy mu współpracę, on nie mógł uwierzyć, bardzo się cieszył i w końcu się zgodził. Miał za zadanie przesłuchanie starych kaset i nowego demo, nauczyć się tego i później nagrać z nami płytę.

- Spotkaliśmy się w pizzerii na Nowym Targu we Wrocławiu — dodaje Jarek Treliński — Adam wychodząc z samochodu rzucił spontanicznie, że gramy razem. Usiedliśmy przy piwku i chłopcy zaproponowali mi grę w zespole przez okres próbny. Ucieszyłem się, bo śledziłem zawsze karierę 1, 2, 3, raz, że mi się podobało, to co robili, bo byli i są stylowymi muzykami i prawdziwymi, a dwa, dlatego, że są z Zielonej Góry, a ja, dziś mogę to powiedzieć, jako jedyny z tego zespołu tak naprawdę tę się w tym mieście urodziłem.

- Miał niewiele czasu — uzupełnia Adam — o tym, że nagrywa płytę, dowiedział się na tydzień przed wejściem do studia, zagraliśmy przed tym tylko jeden wspólny koncert. Jarek musiał zrezygnować z prowadzenia sklepu muzycznego we Wrocławiu, zmienić zupełnie tryb i styl życia. Na początku współpracował z nami jako muzyk sesyjny, musiał przebyć kwarantannę, oczyścić się z innych zespołów. Trwało to dłużej niż ze Sławkiem, mimo że był zupełnie innym człowiekiem, mogliśmy go przyjąć od razu. Na jego niekorzyść działało doświadczenie z Kwiatkiem.

Początkowo producentem „Sufitu” miał być Grzegorz Ciechowski. Zespół (a zwłaszcza Jacek i Grzesiek) obawiał się jednak współpracy z nim.

- Bałem się — nie ukrywa Grzegorz — że będzie to muzyka rockowa na instrumentach akustycznych na wesoło, na dodatek całkiem wyczyszczona.

- Jego dążność do czystości nagrywania, do cyzelowania brzmieniem — mówi Adam — mogła zaszkodzić naszej muzyce. U nas nie liczy się to, czy smyczki są przerobione przez 20 różnych przetworników i komputerów, a raczej ważne jest to, czy materiał jest żywy czy nie — do takiego momentu już doszliśmy.

Ostatecznie zespół zdecydował się na ponowną współpracę z Wojtkiem Waglewskim.

- Trochę się tego obawiałem — twierdzi Adam — podobnie jak Tomek Kopeć, po pierwsze dlatego, że ta płyta może być bardzo podobna do „Czwórki”, a po drugie z tego powodu, że zespół strasznie zapatrzył się na Wojtka, jako na człowieka, który zrobił z nami coś dziwnego i została zachwiana moja pozycja lidera. Wojtek to znakomity muzyk i aranżer i ja teraz boję się wprowadzać swoje pomysły, bo zespół może stwierdzić, że to nie to, jest nie tak, jak być powinno.

We wrześniu piątka muzyków z „Raz, Dwa, Trzy” i Wojtek Waglewski spotkali się w krakowskim studiu GRELCOM, a za konsolą zasiadł Dariusz Grela.

- Bardzo fajnie, w miłej atmosferze i bardzo szybko nagrywało — opowiada Jacek Olejarz — nam się tę płytę, sekcję zrobiliśmy w dwa dni, a łącznie z mixem wszystko trwało 10 dni.

- Miałem ten komfort — dodaje Mirek — że jak coś mi się nie podobało, to poprawiałem, nie kępując i nie wstydząc się tego. Nagrywając bas do numeru „Z naszych rozmów o niczym”, dopiero za trzecim razem byłem zadowolony, mimo że po pierwszym razie Wojtek powiedział, że jest dobrze, po drugim, że jest O’K. Poprosiłem o chwilę przerwy, wyszedłem, poćwiczyłem, pomyślałem i ułożyłem zupełnie coś nowego, nagrałem i wyszło super. Ten numer jest mi teraz szczególnie bliski. Wojtek miał do mnie większe zaufanie, dużo mniej ingerował. Zresztą nauczeni doświadczeniem z „Czwórki” nie pozwoliliśmy mu na wkładanie wielu swoich elementów.

- O to go poprosiłem — uzupełnia Adam — żeby jak najmniej „swojej” poetyki wprowadzał, natomiast więcej myślał o całości materiału, żeby wyprodukował materiał, z którym będzie się utożsamiał, ale będzie on dla niego jednocześnie czymś nowym. I to się udało. Współpraca przy „Czwórce” polegała na zderzeniu naszych osobowości, a tutaj przy „Suficie” nie było zderzenia, tylko porozumienie.

- Przy nagrywaniu tej płyty początkowo bardzo spięty był Jarek Trelński — ujawnia kulisy Mirek — prostych dźwięków nie mógł zagrać, nie znał materiału, po prostu tragedia. Wieczorem załamani, zrezygnowani mówimy mu, by grał jakąś solówkę. Wtedy wypierniczył taką solówkę, że my wszyscy, z

Waglem na czele, otworzyliśmy gęby z zachwytem. Potem poszło już elegancko, w jednym z numerów jest taki piękny dialog gitar - Jarka i Wojtka, który jako producent chciał wrzucić w ten materiał parę dźwięków.

- Byłem zestresowany — dorzuca Jarek Treliński — w ciągu kilku dni musiałem objąć cały materiał i miałem z tym trochę problemów, zwłaszcza że nie zdążyliśmy razem zagrać nawet jednego koncertu. Pierwszym wspólnym występem był „spęd” w Sosnowcu. Przed nami grał Liroy, którego bardzo cenię, a występu „Raz, Dwa, Trzy” mocno się obawiałem, nie byłem pewien stawiania palców na gryfie, ale jakoś poszło.

1996 — udany sezon artystyczny

„Z rozmów”, „Tyle będzie”, „Sufit”, „Nie będziemy”, „Policjanci w Moskwie szukają portweinu”, „Lirycka piosenka dla Wacka”, „Oprócz nas”, „Prawie”, „Przetrywają”, „Po filmie”, „Przez próg”.

„Sufit — to także aranżerski popis lidera „Voo Voo” Wojciecha Waglewskiego. Jego obecność jest wyraźna, czuje się ją np. w „Oprócz nas” i „Prawie” (Wiadomości Dnia) 4 IV 1996, Co słychać).

Surowość i oszczędność brzmienia czemuś jednak ma służyć, a mianowicie wyeksponowaniu tekstu. Tymczasem w tekstach Adama Nowaka nie ma czego eksponować. Pomimo wielokrotnych prób nie udało mi się ustalić, „co poeta chciał przez nie powiedzieć”. Przypadkowe zbitki wyrazów nie budzą we mnie żadnych skojarzeń, żadnych emocji. To nie jest „trudna poezja” — to jest bełkot. Szkoda, że Waglewski, znakomity autor tekstów, oprócz produkcji i aranżacji nie zajął się też opieką nad tekstami. (Robert Leszczyński, „Gazeta Wyborcza”, 9 X 1996 r.).

Zanim 4 marca firma Pomaton E.M.I. wydała płytę „Sufit”, zespół przygotował materiał do spektaklu — międzynarodowego projektu artystycznego Teatru „Wierzbak” z Poznania „Quo Vadis Europe”.

- Muzykę napisaliśmy specjalnie na ten spektakl — mówi Jacek Olejarz — Zagraliśmy na żywo tylko jeden raz. Sprzedaliśmy ten materiał i nie możemy do niego sięgać.

Moja rozmowa z Adasiem na temat prawie godzinnej muzyki do tego spektaklu trwała 10 minut i wtedy przekazałem mu ideę. Chciałem pracować z młodzieżą i wiedziałem, że ma to być o Europie, a właściwie o historii Europy, ale nie znałem treści, nie wiedziałem, czym będzie ten spektakl i jak będzie wyglądał. Adam przekazał tę ideę reszcie zespołu i wtedy powstała muzyka, która nas zainspirowała. Absolutnie genialna (Bogdan Wąsiel, właściciel, dyrektor, reżyser Teatru „Wierzbak”).

Kilkanaście dni po wydaniu „Sufitu”, pod koniec marca, zespół 1,2,3 zagrał koncert w krakowskiej „Rotundzie”. Występ był o tyle specyficzny, iż po odegraniu pierwszego utworu zabrakło prądu i 600 osób półtorej godziny

czekało na ciąg dalszy. Adam z zespołem wypełnili czas oczekiwania śpiewaniem pieśni biesiadnych i turystycznych oraz spontanicznie wymyślonymi bluesami, wykonanymi z udziałem publiki. Tego wieczoru miało miejsce jeszcze jedno istotne zdarzenie — na kolacji wydanej przez szefową „Rotundy” Alinę Piętę do zespołu został przyjęty Jarek Treliński.

- Chłopy przygotowali mi chrzest, takie przyjęcie na członka — opowiada Jarek. Musiałem wypić szklanke wódki jednym haustem, niestety nie udało się, łyknąłem dwukrotnie po połowie. Aby pozbyć się tremy, musiałem pokazać wszystkim tyłek, a także zjeść łyżkę musztardy i przejść pod bardzo wąskim krzesłem. Wieczór zakończył się upojnie, a ja już jestem członkiem zespołu.

Wiosna i lato 1996 stały pod znakiem koncertów, przede wszystkim plenerowych. Wszystko zaczęło się od telewizyjnej, wiosennej imprezy zrealizowanej w Warszawie, z udziałem m. in. Kayah, Justyny Steczkowskiej, For Dee, no i oczywiście „Raz Dwa Trzy”. Wykonawcy przygotowali na tę okazję swoje wersje wiosennych przebojów. „Raz, Dwa, Trzy” wykonali „Trzynastego” z repertuaru „Czerwono-Czarnych” i „Dziewczyny bądźcie dla nas dobre na wiosnę” Wojciecha Młynarskiego. Ten koncert wyemitował II program TVP. Inny składankowy występ zarejestrowała Telewizja Polonia, a koncert w Dębicy został nagrany dla potrzeb katolickiego programu „Raj”. Jednakże największą oglądalność miał oczywiście festiwal opolski, gdzie kwintet rodem z Zielonej Góry wystąpił w dwóch koncertach. Pierwszego dnia zespół w koncercie poświęconym Krzysztofowi Klenczonowi wykonał „Nikt na świecie nie wie” z repertuaru „Czerwonych Gitar”. Wykonanie spodobało się, ponieważ Telewizja Polska wracając do tego koncertu utwór w wykonaniu „Raz, Dwa, Trzy” prezentowała chyba najczęściej.

- Z Krainy Łagodności — mówi Jacek Olejarz — nie jesteśmy zadowoleni, bo był to strasznie nudny koncert, aż do bólu nudny. Nie z naszej winy, bo do naszego wykonania „Przetrwają” nie mam zastrzeżeń.

- Latem zagraliśmy mnóstwo plenerów — mówi Adam — i zaczęliśmy zastanawiać się, czy wygląd zespołu całkowicie się nie zmienił z kameralnego na estradowy. Fajny koncert zagraliśmy w ramach „Przystanku Olecko”, to taka cykliczna impreza, na którą nas zapraszają i zawsze jest bardzo miła atmosfera. Bardzo dobrze się grało w zielonogórskim amfiteatrze na „Odlotach”, chyba w końcu przyszła taka publiczność, jakiej byśmy sobie życzyli.

Zespół wystąpił też kilka razy „na żywo” w rozgłośniach radiowych, m.in. w „Mercurym”, w „Zachodzie” i w „Trójce”. Ten ostatni koncert nosił nazwę „Trójka z plusem” i pojawił się 6 IX 1996 r. na antenie radiowej, a dokładnie tydzień później był retransmitowany przez Canal Plus.

Nagrania „Raz, Dwa Trzy” coraz częściej trafiają na płyty kompilacyjne. Na składankę „Naj. Teraz My” (Pomaton CD 084), zawierającą 14 utworów śpiewanych przez popularnych wokalistów, trafił m. in. utwór „Sufit”

wykonywany przez Adama Nowaka i zespół „Raz, Dwa, Trzy”. Na innej płycie z tej serii „Naj ‘95”, zawierającej największe przeboje polskiego rocka w roku 1995, znalazła się piosenka „I tak warto żyć”, która, co najciekawsze, została także umieszczona na międzynarodowej składance „Around The World With Attitude Ethno Punk” (E.M.I. 7243 8 52084 2 3). „I tak warto żyć” znalazła się na płycie obok utworów z Izraela, Hiszpanii, Grecji, Szkocji, Szwecji, Francji, Japonii, Włoch, Irlandii, USA, Brazylii i Chin.

- Człowiek z E.M.I. UK przyjechał do Polski — opowiada Adam — i spośród utworów, które usłyszał w polskim przedstawicielstwie firmy, czyli Pomatonie, wybrał nasz utwór. Miłe. Nakład tego wydawnictwa jest umiarkowany, jest to raczej ciekawostka, ale ukazuje się na całym świecie.

Brytyjski oddział firmy E. M. I. we wkładce albumu umieścił takie słowa: „Raz, Dwa, Trzy formed in 1990 and have recorded 3 disks to date. They call their acoustic-based music »Happy Spirit« and count as their influences anything from French torch song to Tom Waits, reggae to folk to rock and world music”.

1997 — lider zespołu w filmie

Mimo iż „Raz, Dwa, Trzy” przestaje być promowane, nie nagrywa nowej płyty, choć firma Pomaton dyskretnie się o to upomina, to zespół gra mnóstwo koncertów. Na brak propozycji nie narzeka, co w 1997 roku, gdy polska scena muzyczna przeżywa lekki kryzys (mnóstwo odwołanych ze względu na brak zainteresowania imprez, niższe nakłady wydawnictw fonograficznych...) należy zapisać na plus, zarówno zespołowi, jak i impresariatu Marka Karlsbada, który nadal opiekuje się grupą. Nawet w najmniejszych miejscowościach w Polsce „Raz, Dwa, Trzy” przyjmowane jest ciepło, a część publiczności nieźle zna repertuar grupy.

Bardzo poważną propozycję złożył i przed zupełnie nowe wyzwaniem postawił Adama Nowaka Jerzy Stuhr.

- Miałem napisać muzykę, to znaczy kilka prostych tematów i jedną piosenkę do filmu „Historie miłosne”. To nie miał być „komercyjny przebój”, lecz piosenka, taka intymna, pasująca do tego dosyć trudnego filmu. Pewnie dlatego Stuhr zdecydował się na mnie, bo moja muzyka też jest taka nieokreślona — jak film. To mu przypasowało.

Pana Nowaka i jego zespół pamiętam z czasów, gdy jurorowałam na festiwalu „Paka”. Wtedy śpiewał taką piosenkę o talerzyku, co leżał, jak leży, spodobał mi się, taki zadziorny młody człowiek. Potem syn zniósł mi kasety jego zespołu do domu, więc jeszcze zapytałam zony, która jest muzykiem, co o tym myśli, a ona stwierdziła, że zespół jest ciekawy instrumentalnie. Oni się wyrabiali, mijał czas i gdy ja robiłem „Historie miłosne” i potrzebowałem jakiejś myśli na koniec, która by wszystkie moje małe przypadki podniosła odrobinę wyżej, przypomniałem sobie pana Nowaka. Kiedy mu to zaproponowałem, bardzo się stremował, a jaki był zdenerwowany, gdy w nocy zaśpiewał mi swoją piosenkę pierwszy raz.

Udawał, że go gardło boli, tylko biedny nie wiedział, że przed nim siedzi taki sam udawacz, tylko sto razy lepszy od niego. Kiedy już to wyrzeźbił, to mówię tak, to jest dokładnie ta myśl, o jaką mi chodziło, o niecudzie, świetnie (Jerzy Stuhr, Zielona Góra, wrzesień 1997).

Pisałem to ze dwa miesiące, najpierw siedmiokrotnie obejrzałem film po takim wstępnym montażu, a później długo się zastanawiałem, co ja jeszcze mógłbym powiedzieć po tym, co już powiedział Stuhr. Praca była trudna, ale myślę, że utrafiłem w jego potrzeby, bo zrobił tylko dwie kosmetyczne zmiany.

Piosenka „Niecud” i temat z filmu zatytułowany „Korytarz” znalazły się na singlu promocyjnym z „Historii miłosnych” („Graffiti”), którego niestety nie można było kupić w sklepach muzycznych.

Warto odnotować także fakt pojawienia się w filmie „Szczęśliwego Nowego Jorku” Janusza Zaorskiego piosenki „Pod niebem pełnym cudów” z płyty „Cztery”.

- Zadzwońiła do mnie pani z produkcji — mówi Adam — i zapytała, czy może wykorzystać ten utwór, bo bardzo pasuje do jednej ze scen. Opowiedziała mi tę scenę, a ja się zgodziłem i podpisałem papier. O helikopterze nic nie mówiła, a akcja filmu wówczas toczy się nad Nowym Jorkiem. Jak zobaczyłem film w kinie w Gdańsku, to mogłem być tylko zadowolony, bo piosenka pojawia się w dobrym momencie i bardzo dobrze pasuje.

„Pod niebem...” została ponownie wydana na płycie, tym razem na ścieżce dźwiękowej z filmu „Szczęśliwego Nowego Jorku”, obok utworów m.in.. Marka Kościkiewicza, Golden Life, Guzika, Lecha Stawskiego.

„Raz, Dwa, Trzy” pracuje nad nową płytą....

Marek Jankowski

„RAZ, DWA, TRZY” („EINS, ZWEI, DREI”).

Zusammenfassung

Der Artikel beinhaltet die Geschichte der im Jahre 1990 gegründeten Musikgruppe „Raz, Dwa, Trzy” („Eins, Zwei, Drei”). Diese Band entstand vor dem 26. Festival des Studentenliedes in Kraków (Krakau), denn sie wollte die Grünberger Gesellschaft an der Übersicht des Studentenschaffens vertreten. Die neuentstandene Band, die anfangs zum Akkompagnement Gitarre, Schlagzeug und Klarinette ausnützte, wurde zum Sieger dieses Festivals. Der Leader von „Raz, Dwa, Trzy” („Eins, Zwei, Drei”) und der Autor der meisten Texte ist Adam Nowak. Der Artikel beinhaltet eine genaue Beschreibung der vergangenen Jahre der Tätigkeit dieser Gruppe: Auftritte, Konzerte, Aufnahmen, die Kontakte mit den Managern und Produzenten. Die Geschichte der Band wird durch Erinnerungen ihrer Mitglieder, Aussagen der Personen, die ihre Beurteilungen zu den einzelnen Repertoirevorschlägen von „Raz, Dwa, Trzy” äußerten, illustriert. Viele aus der Grünberger Gesellschaft beurteilten die Anfänge dieser Musikgruppe sehr kritisch. Dagegen die Beurteilungen, die außer Zielona Góra (Grünberg) ausgesprochen wurden, waren für die Band günstiger. Die Band gewann an Popularität und Anerkennung; auf

ihrem Konto gibt es 4 Schallplatten, viele Konzerte, auch außer Polen – z.B. in der Schweiz, die Rundfunk- und Fernsehaufnahmen, positive Rezensionen in der allgemein-polnischen, urteilbildenden Presse wie „Gazeta Wyborcza“, „Rzeczpospolita“.